

WŁASNA RODZINA

Śmierć teściowej * Zakopane i Karpacz * Obrona krzyża * Aneks do sp-ni mieszkaniowej * Urodziny syna * Pralka i wózek * Zjazd rodzinny

Po zawarciu małżeństwa zegar życia zaczął odmierzać mi obok „czasu pracy” również „czas rodziny”. Nazajutrz po ślubie obydwój z żoną wróciliśmy do swej pracy zawodowej, którą kontynuowaliśmy bez najmniejszego uszczerbku dla prowadzonych spraw przez Kasię i projektów architektonicznych, opracowywanych przeze mnie. Mieliśmy teraz dwa mieszkania: jednopokojową kawalerkę w Nowej Hucie i dwuizbowe mieszkanko mamy Kasi na Grzegórkach w Krakowie. Oczywiście oba były zbyt małe jako przyszłe rodzinne mieszkanie i wkrótce daliśmy ogłoszenie do lokalnej „Gazety Krakowskiej” z ofertą zamiany ich na jedno większe. Tymczasem korzystaliśmy z obu, lecz głównie z mieszkania krakowskiego, z którego było bardzo blisko do naszych miejsc pracy.



Mama Kasi

Gospodarstwem domowym, zakupami, gotowaniem posiłków, utrzymaniem porządków w mieszkaniu zajmowała się mama Kasi. Robiła to wszystko, a zwłaszcza gotowała, wspaniale. Mieliśmy w związku z tym po pracy jeszcze sporo wolnego czasu na spacer, kino, teatr itp. Likwidując powoli swą nowohucką kawalerkę przewiozłem do mieszkania krakowskiego duży kilim na ścianę, radio z adapterem, stojak z półeczkami na kwiaty i oczywiście również większość swych osobistych rzeczy. Planowaliśmy też przeprowadzenie renowacji mieszkania i urządzenie porządnej wnęki kuchennej w pierwszej przejściowej izbie, oraz wydzielenie małej łazienki w przedpokoju.

Wszystko rozwijało się więc pomyślnie, lecz po miesiącu od daty ślubu zachorowała mama Kasi. Skarżyła się na nagłe silne bóle brzucha. Zawezwany niezwłocznie lekarz zaaplikował jakieś medykamenty i zalecił odpowiednią dietę, oceniając najprawdopodobniej, że były to dolegliwości żołądkowe. Ponieważ ostre bóle nie mijały, Kasia zawezwała ponownie lekarza z pogotowia, który też przepisał jedynie środki przeciwbólowe i ostatecznie zalecił przewiezienie mamy do kliniki na ul. Kopernika na oddział „Czerwonej Chirurgii”. Pojechała z nią Kasia. Tam czekały prawie dwie godziny w poczekalni, w suterrenach szpitala, na przyjęcie i zbadanie chorej przez lekarza. Po badaniu stwierdzono zapalenie ślepej кишки i zdecydowano się przeprowadzić operację. Odbyła się nazajutrz do południa. Obydwój z Kasią byliśmy wtedy obecni w poczekalni przed blokiem operacyjnym i oczekiwaliśmy na skończenie zabiegu.

Operacja jednakże przeciągała się niepokojąco i długo nikt z bloku operacyjnego nie wychodził. Gdy wreszcie ktoś z personelu się pokazał, poprosiliśmy o informację o stanie zdrowia operowanej. Otrzymaliśmy zdawkową odpowiedź, że zabieg jeszcze trwa. Po upływie wielu dalszych minut wyszedł wreszcie jeden z lekarzy chirurgów i odsuwając mnie nieco od żony, zakomunikował mi szeptem, że w trakcie, udanej zresztą, operacji ślepej кишки, mama zmarła na niespodziewany zawał serca. Faktycznie od kilku lat leczyła się ona na nadciśnienie tętnicze, co najwidoczniej lekarze nie wzięli pod uwagę w swych czynnościach. Kasi o śmierci mamy nic wtedy nie powiedziałem, natomiast po chwili namówiłem ją na powrót do domu, argumentując, że musi ona po operacji wypocząć, a my jej w niczym w tym momencie pomóc nie możemy. Tak też się stało i dopiero w domu poinformowałem żonę o zgonie jej matki. Rozpaczwała straszliwie i nie jestem tego w stanie opisać.

Żona miała uzasadnioną pretensję do lekarzy, którzy tak nieszczęśliwie oraz nie-

frasobliwie pomylili się w swych diagnozach i nie rozpoznali zapalenia ślepej кишки. Ale i tak życia matki nic nie mogło już przywrócić. Był jeszcze jeden pomniejszy aspekt jej zgonu 28 października, czyli akurat w dniu mych imienin. Stąd przez wiele późniejszych lat obchodziłem swe imieniny w dniu 25 listopada, to jest razem z imieninami żony.

Dwa-trzy następne dni po śmierci teściowej wypełniła nam żmudna krzątania przy załatwianiu spraw, związanych z pochówkiem: wynajęcie kwatery na Cmentarzu Rakowickim, zakup trumny, formalności urzędowe, druk klepsydry, powiadomienie krewnych itd. Chodziliśmy wszędzie razem, przy czym bynajmniej nie pomagałem Kasi specjalnie w tych wszystkich czynnościach, które zbawiennie odrywały ją od rozważania i przeżywania swego nieszczęścia.

Pogrzeb odbył się przy pięknej, słonecznej pogodzie w dniu 31 października. Orszak pogrzebowy był wcale okazały, zwłaszcza licznie stawiała się rodzina zmarłej, był również brat ojca Kasi, zamieszkały w Warszawie. Głównie ze względu na niego, po południu, w gronie najbliższych osób zwiedzaliśmy Wawel, gdzie prezentowane były rewindykowane niedawno z Kanady bezcenne pamiątki polskiej kultury, zdeponowane na okres wojny za granicą przez rząd polski w 1940 roku. Wśród nich był legendarny "Szczurbić", miecz koronacyjny polskich królów z pierwszej połowy XIII wieku. W kilka dni później odwiedziła nas również moja mama z Kępna, która z jakichś względów nie mogła wcześniej przyjechać na sam pogrzeb.

Oczywiście nasza prywatna tragedia nie miała wpływu na przebieg naszej pracy zawodowej. Po jednym, czy dwóch dniach wolnych od pracy, które nam w związku ze śmiercią mamy, zgodnie z ustawodawstwem socjalnym, przysługiwały, oboje chodziliśmy do pracy, wykonując swe normalne obowiązki służbowe. Ja nadal pracowałem w Miejskim Biurze Studiów i Projektów Budownictwa. Wykonywałem w tym czasie samodzielny projekt koncepcyjny serii sekcji mieszkaniowych w technologii wielkopłytywowej.

Na imieniny Kasi sprawiłem jej znaczący, a bardzo praktyczny prezent. Był absolutną dla niej niespodzianką i musiała go sama poszukać w mieszkaniu, nie wiedząc, jaki jest duży i co to w ogóle jest. Znalazła go dopiero po dłuższym, intensywnym szukaniu w tapczanie. Był to elektryczny kombajn kuchenneo-gospodarczy "Omega", produkcji NRD, który składał się z froterki do parkietu, odkurzacza, miksera do koktajli oraz młynka do kawy, pieprzu itp. Bardzo estetyczny, mało gabarytowy, swe walory nowoczesności utrzymywał potem jeszcze przez prawie dziesięć lat. Służył nam z powodzeniem właśnie przez tyle mniej więcej lat.

W związku z naszym wcześniejszym anonsem w prasie otrzymaliśmy kilka propozycji zamiany naszych obydwu mieszkań na jedno większe. Po dokonaniu wizji lokalnych zdecydowaliśmy się na dwupokojowe mieszkanie w starym budownictwie, niedaleko na terenie naszej dzielnicy. Mieszkanie to zamieszkiwane było przez rozwiedzione małżeństwo z dwojgiem starszych dzieci. Im nasze mieszkania bardzo przypadły do gustu, przede wszystkim pozwalały na faktyczną separację przez oddzielne zamieszkanie. Dla nas z kolei ich mieszkanie też wydawało się z wielu względów odpowiednie, mimo iż wymagało generalnego remontu. Rozpoczęliśmy więc wspólnie starania we właściwym urzędzie kwaterunkowym o uzyskanie formalnej zgody na te zamiany. Załatwianie podań, mimo naszych monitów, przeciągało się, urząd żądał od naszych partnerów jakichś dodatkowych wyjaśnień, a ostatecznie nic z tego wszystkiego nie wyszło. Nie udało się nam nawet uzyskać uzasadnienia odmownej decyzji na nasze podania o



Pogrzeb teściowej

zamianę mieszkań.

Kilka dni przed Świętami Bożego Narodzenia Kasia kupiła sporą choinkę i ustroiła ją pięknie, ustawiając w kącie pokoju. Święta wypadły w 1959 roku w piątek i sobotę, tak że razem z niedzielą były to trzy kolejne dni wolne od pracy. Postanowiliśmy w ostatniej chwili, aby czas ten spędzić w Zakopanem, zwłaszcza, że zapowiadała się piękna słoneczna pogoda. Nie chcieliśmy też obarczać naszą obecnością krewnych Kasi, gdyż byłoby to także obarczaniem ich naszą żałobą.

Nasz wyjazd do Zakopanego był dosyć ryzykowny, ponieważ nie zarezerwowaliśmy wcześniej pokoju hotelowego. Faktycznie były z tym na miejscu problemy i w wigilijną noc wylądowaliśmy w prywatnej góralskiej kwaterze. Było sympatycznie, ale najbardziej utkwiły mi w pamięci prymitywne warunki naszego zakwaterowania. Otóż na środku zajmowanego przez nas pokoju stał rozgrzany do czerwoności żeleźniak, który ogrzewał cały pokój. A pierzyny na łóżkach miały chyba po pół metra grubości. Za to nazajutrz przenieśliśmy się do hotelu "Poraj" w samym centrum Zakopanego. Tam mieliśmy bardzo dobre warunki zamieszkania i żywienia. Ale nie znaczyło to dla nas wiele, ponieważ znakomitą część obu dni świątecznych przeznacziliśmy na spacer i wędrowki po uroczych dolinkach Zakopanego. Jedynie w Dolinie Kościeliskiej zafundowaliśmy sobie sanie, które dowiozły nas aż do Bramy Kraszewskiego na końcu doliny.

W sumie rok 1959 zaznaczył się w moim życiu dość wyraziście: przeszedłem do pracy w biurze projektowym budownictwa ogólnego, ożeniłem się, zmieniłem mieszkanie, zmarła matka mej żony. Niezależnie od tego nadal, choć w mniejszym stopniu niż dotychczas, interesowałem się szerszymi sprawami dotyczącymi kraju i świata. W Polsce w dalszym ciągu dominowały w tym czasie działania gospodarcze, związane z lepszym wykorzystaniem sił i środków państwowych dla poprawy poziomu życia ludności. Równocześnie kontynuowane były liczne inwestycje, związane z powiększeniem potencjału gospodarczego kraju.

W skali światowej był to kolejny rok licznych kontynuowanych i nowych konfliktów i wojen, głównie na kontynentach azjatyckim i afrykańskim. W Azji trwała wojna w Laosie i wojna graniczna pomiędzy Indiami i Chinami, w Afryce rozpoczęły się wojny domowe w Kongo Belgijskim i Algierii. W Ameryce Północnej władzę na Kubie przejęli rewolucyoniści Fidela Castro.

Trwał podbój Kosmosu przez oba supermocarstwa USA i ZSRR, które, wysłały całą serię sond księżycowych. Z pośród nich Łuna 2, jako pierwszy obiekt materialny wysłany z Ziemi, trafiła w Księżyc, zaś Łuna 3 sfotografowała niewidoczną z Ziemi stronę srebrnego globu, co niewątpliwie było w ogóle największą sensacją całego 1959 roku.

Od 1960 roku pracowałem w wielobranżowej Pracowni Projektowej PW-2. Była to duża pracownia, licząca ponad 40 osób, zgrupowanych w sześciu wyspecjalizowanych, branżowych zespołach. W tym dwa architektoniczne, a po jednym zespole konstrukcji, instalacji sanitarnych, uzbrojenia terenu oraz dróg i zieleni. Kierownikiem pracowni PW-2 był architekt Zbigniew Zgud, specjalista od projektowania wnętrz. Pracownia samodzielnie mogła realizować prawie w całości zlecaną do biura dokumentację projektową dla różnych przedsięwzięć inwestycyjnych. Musieliśmy tylko kooperować z wydzielonymi mniejszymi pracowniami instalacji elektrycznych i kosztorysowania.

Takich dużych pracowni wielobranżowych, jak nasza, było w biurze pięć. Dwie z nich specjalizowały się w budownictwie mieszkaniowym na nowoprojektowanych osiedlach, dwie opracowywały dokumentację rewaloryzacyjną dla obiektów zabytkowych Krakowa, zaś nasza PW-2 wykonywała projekty dla budownictwa ogólnego, głównie szkół, przedszkoli, przychodni zdrowia, pawilonów handlowych, biurowców i obiektów

przemysłowo-składowych. W związku z tym w PW-2 pracowało najwięcej samodzielnych starszych projektantów architektury, przy czym staraliśmy się specjalizować w projektowaniu określonych rodzajów budownictwa.

Ja pracowałem w duecie ze starszym ode mnie architektem Stanisławem Ćwizewiczem. Miał on najdłuższy w pracowni staż projektancki, był bardzo uzdolniony i wszechstronny. Stanowiliśmy wraz z pracującymi dla nas młodszymi projektantami i asystentami 6-osobowy zespół architektoniczny. Głównym naszym tematem projektowym w 1960 roku był Centralny Ośrodek Chłodnictwa przy ul. Dzierżyńskiego w Krakowie. Był to duży obiekt biurowo-laboratoryjny o kubaturze ponad 40 tys. metrów sześciennych. Został potem wybudowany w ciągu następnych trzech lat.

Na początku 1960 r. we wszystkich państwowych biurach projektowych w kraju przeprowadzona została weryfikacja posiadanych kwalifikacji zatrudnionych w nich projektantów. Chodziło przede wszystkim o sprawdzenie posiadanego wykształcenia i praktyki budowlanej, obowiązujących formalnie dla określonych stanowisk projektanckich. Kto ich nie posiadał, musiał potem, w określonym trybie i czasie, uzupełnić ujawnione braki pod rygorem utraty zajmowanego stanowiska. W moim przypadku komisja weryfikacyjna uznała aż 9 lat samodzielnego projektowania i 3 lata praktyki na budowie w okresie, gdy byłem inspektorem nadzoru budowlanego w Nowej Hucie.

W marcu wraz z Kasią pojechaliśmy w ramach urlopu wypoczynkowego na dwutygodniowe wczasy do Karpacza. Zamieszkaliśmy w Bierutowicach (obecnie Górny Karpacz) w dwóch różnych domach wczasowych FWP, położonych nieco powyżej kościółka Wang. Nie było już bowiem wolnych dwuosobowych pokoi. To też udawaliśmy potem przez okres całego turnusu: ja kawalera, a Kasia panienkę. Wszyscy myśleli, że poznaliśmy się dopiero podczas turnusu.

Mieliśmy miłe towarzystwo, chodziliśmy na liczne wycieczki, zwłaszcza na pobliskie Kopę, Śnieżkę, Pielgrzymy, i do schroniska "Samotnia". Czynny był już, wybudowany niedawno, wyciąg krzesełkowy z Karpacza na Kopę, który znacznie skracał czas i trudy wędrówki na szczyty Karkonoszy. Zwiedziliśmy również Jelenią Górę, wielką zaporę na Bobrze w Pilichowicach oraz Szklarską Porębę ze Szrenicą. Pogoda cały czas dopisywała, było słonecznie i coraz cieplej. W niecce jeleniogórskiej już zaczynała się wiosna, ale na szczytach zalegała jeszcze gruba warstwa śniegu. Były to wspaniałe wakacje, mamy kilkadziesiąt zdjęć, jakie wtedy sam wykonywałem. Turnus wczasowy zakończył się wielkim balem pożegnalnym, a Kasia jakby otrząsnęła się już z bólu po stracie swej mamy.



Wczasy w Szklarskiej Porębie

Niedługo po powrocie z urlopu w Karkonoszach udałem się do Dyrekcji Budowy Nowej Huty w jakichś celach służbowych. W jej sąsiedztwie na osiedlu C-1, zwłaszcza na ulicy przed budynkiem Dzielnicowej Rady Narodowej zauważyłem kordon milicji i spore zbiegowisko ludzi. Wkrótce dowiedziałem się co się stało. Mianowicie niedaleko obok funkcjonującego już Teatru Ludowego znajdował się spory plac, jakich kilka, bez szczegółowego określenia ich przeznaczenia, zaprojektował w Nowej Hucie generalny projektant inż. T. Ptaszycki. W Dyrekcji Budowy zaplanowano wybudowanie w tym miejscu w 1960 roku dużej szkoły podstawowej.

Ta szkoła nie była przewidywana przez plan generalny NH, gdyż nie sposób było

też przewidzieć niezwyklego przyrostu naturalnego, jaki wystąpił na nowych osiedlach w okresie po ich zasiedleniu. Przecież w czasie lat 50. coroczne przyrosty naturalne ludności w Polsce były wyższe niż np. później w całym 6-leciu 1990-96. Zaś w Nowej Hucie padały pod tym względem rekordy absolutne. Prawa cyklu: "młodzi - praca - mieszkanie - dzieci" funkcjonowały tu niezawodnie. Tak więc przez szkoły podstawowe miasta w latach 1959-70 przechodziła "nawałnica" dzieci, urodzonych już w NH. Stąd pomysł szybkiego wybudowania szkoły na Placu Teatralnym. Lecz gdy 26 kwietnia 1960 r. brygada kopaczy rozpoczęła prace przy wykopach, doszło do ostrego protestu okolicznych mieszkańców.

Mianowicie w 1957 r. ustawiony został na tym placu duży drewniany krzyż, gdyż Kuria upatrzyła ten teren na budowę nowego kościoła. Krzyż w nocy został wykopany i usunięty przez kierownictwo robót, co jeszcze bardziej rozsierdziło protestujących. Spalili więc następnego dnia kilka kiosków gazetowych "Ruchu" oraz wybili szyby w nieodległym budynku Rady Dzielnicowej i w sklepach na osiedlu. Nastąpiła wówczas zdecydowana, ostra interwencja oddziałów milicyjnych, ściągniętych z całego Krakowa. Doszło do bójek, spalenia kilku samochodów milicyjnych, aresztowano kilkadziesiąt osób, użyte zostały gazy łzawiące i ostra broń. W wyniku obrażenia odniosło kilkudziesięciu milicjantów i nieokreślona, ale znacznie większa liczba protestujących i przypadkowych mieszkańców.

Ostatecznie krzyż stoi obecnie bliżej drogi i wisi na nim tabliczka, upamiętniająca tamte wydarzenia z kwietnia 1960 roku. Zaś szkoła wybudowana została w ciągu roku, jako jedna z pierwszych "tysiąclatek" i należy niewątpliwie do najbardziej funkcjonalnych szkół w Krakowie. Wyróżnia się między innymi nowatorskim powiązaniem szatni przyklasowych z izbami lekcyjnymi.

Po nieudanej próbie zamiany posiadanych przez nas dwu mieszkań na większe, zmieniliśmy plany w tym zakresie i złożyłem wniosek o członkostwo w Międzyzakładowej Młodzieżowej Spółdzielni Mieszkaniowej, by tą drogą uzyskać większe mieszkanie. Równocześnie rozpocząłem starania o likwidację swej nowohuckiej kawalerki. Było to mieszkanie służbowe i oczywiście musiałem je przekazać urzędowi kwaterunkowemu, ale zostawiałem w nim pełne umeblowanie, urządzoną wnękę kuchenną, zasłony, firanki, lustro ścienne itp. Chciałem oczywiście uzyskać za to jakieś pieniądze. Skontaktowałem się więc, po przez ogłoszenie w prasie, z młodym pracownikiem Huty, który wraz z żoną reflektowali na mieszkanko oraz zakup wszystkich mebli. Złożyli, równolegle z moją rezygnacją, wniosek o uzyskanie mieszkania, na co rzeczywiście szybko uzyskali urzędową zgodę, gdyż obydwójce pracowali w nowohuckim Kombinacie. Natomiast gorzej było ze spłatą należności za przejęte meble i wyposażenie, pozostawione przeze mnie, mimo, że zgodziłem się na spłatę ratalną. Skończyło się na pierwszej racie, ale trudno, było to raczej bardzo biedne, młode, startujące dopiero zawodowo, małżeństwo.

Zarząd Młodzieżowej Spółdzielni Mieszkaniowej przyjął mnie na członka bez najmniejszych problemów. Wszak była to ta sama spółdzielnia, której dwa lata wcześniej przekazałem gotowe bloki mieszkalne przy ulicy Grzegórzeckiej, gdy nie miała jeszcze tylu członków rzeczywistych ile otrzymanych mieszkań. Rewanżując się niejako, prezesi zaproponowali mi uzyskanie już w ciągu kilku miesięcy mieszkania w aktualnie kończonych nowych budynkach w części północnej ich osiedla Noworzegórzeckiego. Oczywiście musiałbym wówczas w tym krótkim terminie zgromadzić na swej mieszkaniowej książeczce PKO cały wkład budowlany, wynoszący około 30 tys. złotych. Mogłem nawet zrealizować tę wpłatę, bazując na swych kawalerskich oszczędnościach, ale żona nie przyjęła zgłoszonej nam propozycji. Po prostu we wskazanych budynkach były jedynie standardowe mieszkania jedno i dwupokojowe. A jej, zresztą jak najbardziej słusznie i

rozsądnie, marzyło się mieszkanie większe, konkretnie trzypokojowe. Poza tym nie odpowiadała jej lokalizacja tych budynków, a ostatecznie to mieliśmy aktualnie gdzie mieszkać.

Tak się akurat złożyło, że dla tej MMSM w moim biurze projektowany był w tym czasie duży plombowy budynek mieszkalny w dzielnicy Salwator. Były w nim przewidziane mieszkania różnej wielkości, również 3 i 4 pokojowe. Zgłosiłem więc w spółdzielni, że reflektuję na mieszkanie w tym projektowanym jeszcze budynku i już w lipcu spisana została za mną umowa na trzy pokojowe mieszkanie we wskazanym bloku, o wielkości 65 metrów kwadratowych, z terminem przekazania mieszkania do 31 grudnia 1962 r., a więc za 2,5 roku. Odpowiadało to nam jak najbardziej.

Po przeprowadzonej na początku roku weryfikacji stanowisk projektanckich w państwowych biurach projektowych, wszyscy starsi projektanci, którzy uzyskali pozytywne weryfikacje zostali zobowiązani do złożenia specjalnego egzaminu na tzw. uprawnienia budowlane. Wymóg ten wynikał z ustawy o prawie budowlanym jeszcze z 1939 roku, w okresie powojennym jednakże nie w pełni respektowanym. Egzaminy dotyczyły głównie zagadnień, związanych z bezpieczeństwem i higieną pracy oraz znajomością obowiązujących przepisów budowlanych. Przygotowałem się starannie do nich i zdałem je z wynikiem bardzo dobrym. A w sierpniu otrzymałem z Komitetu Budownictwa, Urbanistyki i Architektury formalne uprawnienie do kierowania, określonymi w odpowiednim rozporządzeniu, robotami budowlanymi i sporządzania projektów dla tych robót.

W sierpniu na kilka dni przyjechała do nas moja mama ze swą siostrą Anielą, która zamieszkiwała w miejscowości Próchenki w powiecie Łosice w województwie lubelskim, gdzie od czasów przedwojennych była nauczycielką w szkole podstawowej. Przede wszystkim udaliśmy się na grób mamy Kasi na Cmentarzu Rakowieckim. Grób posiadał już obudowę i nagrobek, wykonane ze sztucznego kamienia według mojego własnego projektu. Najwidoczniej firma kamieniarska wykorzystywała potem często moje rysunki, gdyż od tego czasu zauważałem na cmentarzu co raz więcej identycznych grobowców.



Z ciocią Anielą i mamą na spacerze

Ciotka Nela od bardzo dawna nie była w Krakowie, więc zwiedziliśmy prawie całą Starówkę, byliśmy na Wawelu, także w Ogrodzie Botanicznym. Do tego Ogrodu chodziliśmy w tym czasie w dwójkę z żoną bardzo często. Położony był blisko naszego miejsca zamieszkania, była tam wspaniała roślinność, a przy tym spokojnie i cicho. Spacerując po ścieżkach ogrodu można było doskonale wypoczywać, a było to wskazane dla żony, będącej wówczas w odmiennym stanie.

Sierpień 1960 r. był też miesiącem XVII Światowych Igrzysk Olimpijskich, jakie odbyły się w Rzymie. Polskie radio, prasa i telewizja szeroko informowały o wielkich sukcesach polskiej ekipy sportowej, zwłaszcza bokserów, która zdobyła 21 medali i szóste miejsce w nieoficjalnej punktacji. Normalnie, na co dzień, nie interesowałem się żadną dyscypliną sportową, ale relacje z rzymskiej Olimpiady śledziłem z zapartym tchem.

Również w wielkiej polityce miały miejsce ważne wydarzenia. Należała do nich niewątpliwie marcowa konferencja rozbrojeniowa w Genewie, na której po raz pierwszy zgłoszona została propozycja zawarcia ogólnoświatowego układu o zaprzestaniu do-

świadczeń z bronią jądrową. Oraz zestrzelenie w maju nad terytorium radzieckim, przy pomocy rakiety, amerykańskiego szpiegowskiego samolotu U-2, lecącego na dużej wysokości, poza zasięgiem klasycznej artylerii przeciwlotniczej. Wydarzenie to było powodem zerwania paryskiej konferencji w sprawie układu pokojowego z Niemcami. Poza tym: Francja dokonała pierwszej eksplozji swej bomby atomowej; w USA wodowano pierwszy okręt podwodny o napędzie atomowym, wyposażonym w rakiety balistyczne; powstało 8 nowych niepodległych państw narodowych w Afryce.

W dniu 21 września powiększyła mi się rodzina, bo przyszedł na świat pierwszy syn. Żona zaproponowała, aby dać mu staropolskie imię Maciej. Jeszcze przez prawie dwa tygodnie przebywała wraz z pierworodnym w szpitalu, a ja co drugi dzień chodziłem do szpitala i w poczekalni pisałem listy do niej, informując o bieżących wydarzeniach i konsultując zakupy tetra na pieluszki, środków pielęgnacyjnych dla niemowlaka, śpioszków, czepków itd.

Gdy 4 października Kasia wraz z Maciusiem wróciła ze szpitala, to radykalnie odmienił się nasz dotychczasowy tryb życia. Przede wszystkim kupiłem małą plastikową wanienkę do kąpieli dziecka. W ciągłym użytkowaniu była też pralka, jaką wcześniej zainstalowałem w mieszkaniu. Była to elektryczna pralka wirnikowa z ręczną wyżymaczką. Obsługa tej wyżymaczki, czyli kręcenie korbką, należała do mnie. Żeby było więcej roboty, to potem wyżymane pieluszki jeszcze się prasowało, ale to nie należało już do moich kompetencji domowych.

Jeszcze w czasie pobytu żony w szpitalu kupiłem telewizor "Smaragd", był to chyba drugi po "Belwederze" typ telewizora, produkowanego w Polsce. Miał obłą, fornirowaną skrzynkę i dołem dwa wielkie pokręta. Próbną nadawanie programów TV z wieży Pałacu Nauki i Kultury w Warszawie rozpoczęło się wprawdzie już w 1956 roku, ale dopiero w 1960 r. nastąpił większy postęp w rozpowszechnianiu się tego nowego środka masowego przekazu w naszym kraju, gdy ilość odbiorników TV doszła do 10 tysięcy sztuk. Przy czym regularny program ograniczał się do krótkich audycji informacyjnych, jedynie w czwartki nadawany był przez 4 godziny. Niestety jakość przekazu obrazu i dźwięku była raczej mizerna. Poprawiła się znacznie dopiero po oddaniu do użytku, rozpoczętej właśnie budowy, dużej stacji przekątnikowej na wywyższeniu Chorągwicy pod Krakowem.

Po niedługim czasie urlop macierzyński żonie się skończył i zmuszeni byliśmy zaangażować kogoś do opieki nad dzieckiem. Pierwszą osobą, dochodzącą do naszego synka, była wieloletnia przyjaciółka mamy Kasi, pani Smalewska. Solidna, odpowiedzialna i doświadczona, gdyż wychowała już dwie swoje córki i syna. Przychodziła do naszego mieszkania przed wyjściem żony do pracy i odchodziła po naszym powrocie. Zajmowała się ona jedynie dzieckiem, które karmiła, przewijała i zabawiała, przy czym do kąpienia Maciusia przychodziła dodatkowo profesjonalna pielęgniarka o określonej porze. Gotowanie obiadów i inne czynności domowe należały nadal do Kasi, ja zaś nieodmiennie kręciłem korbką i wyżymałem pieluchy.

Wkrótce zakres moich obowiązków ojcowskich jeszcze się powiększył w związku z koniecznością codziennego wożenia syna wózkami na spacerach na świeżym powietrzu. Mianowicie oba okna naszego mieszkania usytuowane były od strony północnej budynku i słońce do mieszkania nigdy nie zaglądało. Lekarz orzekł, że aby dziecko uchronić przed krzywicą, należy możliwie często wozić je na świeże powietrze i wystawiać na "kąpiele" słoneczne.



Wyżymanie pieluch

Kupiliśmy wtedy głęboki wózek dla Maciusia, i gdy tylko było pogodnie i słonecznie, nawet w mroźne dni, zabierałem go na spacer. Najczęściej chodziłem wzdłuż niedalekiej ulicy Powstańców Warszawy, która miała szerokie chodniki. Sam siadałem na ławce i czytałem prasę lub książkę, zaś wózek ustawiałem tak, że twarz synka poddana była naświetlaniu promieniami słonecznymi. Te spacerory z wózkiem kontynuowałem przez okres około trzech lat, przy czym po upływie półtora roku Maciek korzystał już ze składanego wózka spacerowego.



Na słonecznym spacerze

W dnie pochmurne i słotne naświetlaliśmy naszego milusińskiego specjalną ultrafioletową lampą kwarcową, jaką w tym celu nabyliśmy. Kosztowała drogo i należało przy jej użyciu stosować odpowiednie środki ostrożności, ale była ona bardzo skuteczna.



Maciek ba tapczanie

Tak więc ostatni kwartał 60 roku wyraźnie upływał nam, zwłaszcza żonie, na pielęgnacji naszego małego Maciusia. Na szczęście nie dokuczał nam zbyt często swym płaczem. Wprost przeciwnie: był dzieckiem pogodnym i roześmianym, w nocy raczej spał smacznie, dopisywał mu niezły apetyt i szybko rósł i "mężniał".

Maciek miał swoje łóżeczko - kojec. Spał w nim, później także siedział i bawił się. Nawet gdy zaczął chodzić, co nastąpiło w dziesiątym miesiącu życia, to ze względu na jego bezpieczeństwo przetrzymywaliśmy go w tym kojcu, zwłaszcza, gdy nie mieliśmy czasu na bezpośrednie opiekowanie się nim. Był bowiem bardzo żywy i ruchliwy, chodząc po mieszkaniu mógłby zrobić sobie jakąś krzywdę.



Maciek w kojcu

Święta Bożego Narodzenia spędziliśmy bardzo rodzinnie, to znaczy trzyosobowo w swym własnym mieszkanku. Znow, jak w ubiegłym roku, Kasia kupiła i ustroiła dużą choinkę, obwieszając ją obficie szklanymi bombkami i srebrzystą lametą. Stała na stojaku w kącie pokoju, przytulona z jednej strony do telewizora i, usytuowanego nad nim na półce, dużego radioadapteru. W pewnym momencie, na szczęście na naszych oczach, zapaliła się na choince lameta i inne ozdóbki. W ułamku sekundy ogień przeniósł się też na fornirowaną obudowę radioadapteru. Wyglądało to bardzo groźnie, ale szybko pożar ugasiłmy kocem, niszcząc przy okazji to i owo. Radio nadawało się jeszcze wprawdzie do użytku, lecz oszpecone zostało bezpowrotnie przez duży liszaj zgorzeliny. Jak się później okazało, dla naszego trzymiesięcznego synka ten pożar stanowił pierwsze zapamiętane mgliście zdarzenie w jego życiu.

Nowy rok też przywitaliśmy w swym mieszkaniu, wspólnie z zaprzyjaźnionym młodym małżeństwem. Ona, Wandzia, pracowała razem z Kasią i była, oraz pozostała najlepszą przyjaciółką. Jej mąż, Tadeusz Brachowski, pracował jako robotnik w Instytucie Odlewnictwa i aktualnie studiował na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. Potem, ciągle pracując w tym samym zakładzie, przeszedł prawie wszystkie szczeble zawodowe w Instytucie aż do stanowiska naczelnego dyrektora. Tymczasem, od swego małżeństwa, które zawarli rok wcześniej od nas, wiodło im się dość skromnie. Wspólnie

spełniliśmy szampański toast, witając nowy 1961 rok.

Za kilka dni próbowałem zrobić bilans swoich wydatków finansowych za miniony rok i w ogóle za okres ostatnich 16 miesięcy, jaki upłynął od czasu mego ślubu. Bilans był porażający, nawet nie byłem w stanie doliczyć się wszystkich poniesionych wydatków. W każdym bądź razie moje niemałe, wieloletnie kawalerskie oszczędności stopniały prawie zupełnie. Trzeba było zabrać się intensywnie do pracy, by przynajmniej zrównoważyć przychody z niezbędnymi wydatkami.

Od I kwartału 1961 r. włączyłem się do opracowywania wraz ze Staszkiem Cwizewiczem projektu technicznego dużego budynku biurowego dla Zjednoczenia Przemysłowego Wytwarzania Metalowych "Prozamet" przy ul. Mogiłskiej w Krakowie. Był to 12-kondygnacyjny obiekt, o kubaturze ponad 25 tys. metrów sześciennych, projektowany jako pierwszy z grupy czterech podobnych, powiązanych piętrowym łącznikiem. Opracowywaliśmy równocześnie zagospodarowanie przestrzenne całego tego zespołu, którego obiekty miały być następnie budowane kolejno, począwszy od 1962 roku. Ostatecznie zrealizowane zostały później tylko dwa z nich.

Budynki miały prefabrykowane zewnętrzne ściany osłonowe w formie przeszklonych ram żelbetowych, przy czym w partiach parapetowych tych elementów osłonowych zastosowaliśmy wykładziny z kolorowych tafli szkła hartowanego. Dokumentacja była bardzo pracochłonna, z uwagi na zastosowanie wielu nowatorskich rozwiązań. W trakcie tych prac projektowych Staszek poważnie zachorował i musiałem sam z zespołem kontynuować i dokończyć rysunki robocze. Było z tym wiele pracy i wobec stosunkowo krótkich terminów umownych dostarczenia dokumentacji inwestorowi - przychodziłem dodatkowo do biura, do pracy, w godzinach wieczornych. Na szczęście usytuowane było tylko kilkaset metrów od miejsca mego zamieszkania.

Na początku letnich wakacji szkolnych przyjechała do Krakowa na kilka dni moja siostra wraz z kilkunastoletnim synem, Januszem. Oprawdzaliśmy ich po Krakowie, zabierając zwykłe na spacer również Maciusia, oczywiście w jego różowym wózekku. Natomiast w sierpniu wybraliśmy się do moich rodziców, mieszkających w Kępnie. Jechaliśmy ładne kilka godzin zwykłym pociągami osobowymi. W pewnym momencie Kasia stwierdziła, że pora na ciepły posiłek dla Maćka, dając mi buteleczkę zimnego mleka. Nie dysponowałem oczywiście żadną kuchenką, więc na najbliższej stacji butelkę z mlekiem dałem maszyniście parowozu i poprosiłem o jej podgrzanie. Odebrałem ją na kolejnej stacji, już odpowiednio podgrzaną w palenisku lokomotywy.



Cała nasza rodzina w komplecie

jeszcze swego brata Ferdynanda w Kłodzku, przyjechał do nas, do Krakowa, także wuj Edziu ze swą rodziną.

W Kępnie, w domu mych rodziców, odbyło się kilkudniowe spotkanie - zjazd rodzeństwa mej mamy. Był Wacek z Tczewa, Aniela z Próchenek, Edek z Anglii, wraz z żoną i dwoma synami. Przyjechała też moja siostra z mężem i dwójkiem dzieci z Wrocławia. W sumie było nas 15 osób. Najstarszym był dziadek, to jest mój ojciec, który miał wtedy 65 lat, najmłodszym mój synek, liczący 10 miesięcy. Oczywiście było gwarno od rozmów oraz wspomnień i nie obyło się bez wspólnych zdjęć w atelier fotograficznym. W Kępnie bawiliśmy raptem kilka dni, poczym powróciliśmy do Krakowa. Wkrótce, po odwiedzeniu

Kilka słów o moim wujku Edwardzie. W 1938 roku, w wieku przedpoborowym, wstąpił on ochotniczo do Korpusu Ochrony Pogranicza, gdzie został trębaczem. Po rozbrojeniu jego oddziału przez Rosjan we wrześniu 1939 r., zamiast wrócić do rodziców, dał się namówić, wraz ze swym kolegą, na pracę w kopalni węgla w Zagłębiu Donieckim. W 1941 roku zgłosił się do Armii Andersa i następnie przez Irak i Włochy znalazł się, już po wojnie, w Niemczech, jako żołnierz polskich formacji wartowniczych. Ożenił się tam z Niemką, po czym razem wyjechali do Anglii, gdzie, po odbyciu odpowiedniego kursu zawodowego, wujek został tkaczem w dużej fabryce włókienniczej. Do Polski po raz pierwszy po wojnie przyjechał właśnie w 1961 r., zabierając ze sobą żonę Lottę i obu kilkunastoletnich synów Jurka i Piotra.



Zjazd rodzinny mamy w Kępnie

Pokazaliśmy im oczywiście Kraków i Nową Hutę oraz na 3 dni pojechaliśmy razem do Zakopanego. Była prawie cały czas piękna pogoda i nasi angielscy goście bardzo z pobytu w Krakowie i Zakopanem, oraz w ogóle w Polsce, byli zadowoleni i oczarowani, zwłaszcza zabytkami Krakowa i Tatrami. Naturalnie do Zakopanego nie zabraliśmy naszego małego Maciusia. Został on w Krakowie pod opieką pani Smalewskiej, która zresztą zabrała niemowlaka do swego mieszkania. Nawiasem mówiąc, to bardzo się do niego przywiązała, zresztą Maciek również traktował ją jako osobę numer jeden, o co niekiedy byliśmy trochę zazdrośni.



Z „Anglikami” w Zakopanem

We wrześniu wziąłem udział w trzydniowym spotkaniu absolwentów trzech pierwszych powojennych roczników Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej. Miło było spotkać się z kolegami, z którymi 15 lat wcześniej rozpoczynałem studia architektoniczne. Informowaliśmy się wzajemnie o swych karierach zawodowych i życiowych oraz o swym dorobku projektowym. W ramach zjazdu zwiedziliśmy wystawę prac projektowych, urządzoną z tej okazji w Miastoprojekcie-Wrocław, oraz kilka osiedli i obiektów wrocławskich, po których oprowadzali nas ich autorzy. Zjazd zakończył się imponującym bankietem w ekskluzywnej restauracji "Monopol" obok Opery Wrocławskiej.

W następnym miesiącu moje biuro projektowe zorganizowało dla swych pracowników wycieczkę autokarową do Warszawy. Wziąłem w niej udział wraz z żoną. Zwiedziliśmy Starówkę Warszawską, Pałac Kultury i Nauki, Plac Konstytucji. Na Placu Zamkowym stała już odbudowana kolumna z królem Zygmuntem III Wazą, dzierżącym wielki krzyż w lewej ręce i miecz w prawej, symbolizujące jego ultrakatolicyzm (kontrreformacja) i prowadzone przezeń wojny (o Inflanty). Zwiedziliśmy też zbudowany w czasach króla Jana III Sobieskiego przepiękny, barokowy Pałac w Wilanowie, aktualnie pieczołowicie odbudowywany po zniszczeniach wojennych. Widziałem go po raz pierwszy, a

zaimponowały mi zwłaszcza park i ogrody wokół Pałacu. W drodze powrotnej oglądnęliśmy ruiny zamku z XIII wieku w Chęcinach, z czterema wielkimi narożnymi basztami.

W polityce międzynarodowej rok 1961 kończył się znacznym pogorszeniem stosunków międzynarodowych. W styczniu nastąpiło zerwanie stosunków dyplomatycznych między USA i Kubą, a w kwietniu nieudane lądowanie kilkutysięcznego oddziału emigrantów kubańskich, kierowanego i uzbrojonego przez Amerykanów, w Zatoce Świń na Kubie. W lipcu Związek Radziecki zawiesił redukcje zbrojeń, po czym dokonał szeregu próbnych wybuchów bomb jądrowych, w tym jednej 50-megatonowej, największej z dotąd zbudowanych. Zaś Stany Zjednoczone zwiększyły swe wydatki na zbrojenia i wznowiły podziemne próby jądrowe.

Najpoważniejszą formę przybrał tzw. kryzys berliński, gdy władze NRD w połowie sierpnia zdecydowały odгородzić wschodni sektor Berlina wysokim murem betonowym i zasiekami od zachodnich stref okupacyjnych miasta. Natężenie wzajemnej wrogości, potęgowane przez kolejne demonstracje wojskowe i wystąpienia propagandowe po obu stronach konfliktu, osiągnęło swe apogeum mniej więcej na koniec września. Wtedy to otrzymałem od mamy z Kępna dramatyczny list, w którym wyrażała przekonanie, iż "wojna wisi na włosku" i radziła byśmy przyjechali niezwłocznie do Kępna, gdyż "miasta wojewódzkie pójdą na zagładę, a tym bardziej Nowa Huta". Odpisałem natychmiast uspokajająco, że wojny w Niemczech, ani w ogóle w Europie, nie będzie, bo żadna ze stron nie może mieć pewności jej wygrania w sytuacji osiągnięcia wzajemnej równowagi broni jądrowej, jaka co najwyżej gwarantować mogła zagładę obu ewentualnych przeciwników.

Rok 1961 zaznaczył się też wielkimi osiągnięciami w dziedzinie opanowywania Kosmosu. W dniu 12 kwietnia kosmonauta Jurij Gagarin odbył, jako pierwszy człowiek, 70-minutowy lot w przestrzeni kosmicznej dookoła Ziemi, zaś w sierpniu Herman Titow okrążył w statku kosmicznym Ziemię 17 razy, przebywając w stanie nieważkości przez ponad 25 godzin. Amerykanie natomiast rozpoczęli prace nad programem "Apollo", którego celem było przygotowanie lotu i lądowania człowieka na Księżycu.